



Wyruszyła „Z małej wsi w podróż przez Afrykę”! Alicja Bartkowska z Mrocza opowiada o swoim życiu na Czarnym Lądzie [WYWIAD]

data aktualizacji: 2023.04.10



"Nie wszystko można naprawić, ale wszystko można zacząć od nowa", to myśl przewodnia książki „Z małej wsi w podróż przez Afrykę w świat”. Autorka, Alicja Bartkowska, pochodzi z pobliskiego Mrocza, ale w rodzinne strony powróciła dopiero na emeryturze. Większość dotychczasowego dorosłego życia spędziła za granicą, w tym w odległej - nie tylko geograficznie, ale i kulturowo - Nigerii, gdzie emigrowała "za mężem", Afrykaninem. O swoich barwnych życiowych doświadczeniach opowiada w książce, a - krócej - także w poniższym wywiadzie... Zapraszamy do lektury!

Pochodzi z Mrocza. Tu chodziła do szkoły podstawowej, potem edukację kontynuowała w Nowym Mieście Lubawskim. Po otrzymaniu tytułu magistra ekonomii na Uniwersytecie Gdańskim wyjechała do Afryki, do Nigerii, za... mężem, Nigeryjczykiem. Dopiero gdy przeszła na emeryturę, 6 lat temu,

wróciła na stałe tutaj, w rodzinne strony. Razem z drugim mężem wybudowała w Mszanowie swój pierwszy dom. Napisała też autobiograficzną książkę o 18 latach życia w Afryce. Książka pojawiła się na rynku wydawniczym w październiku 2019 roku i stała się bestsellerem. Rozmawiamy z autorką, Alicją Bartkowską.

Wyjechała Pani z Polski do Nigerii jako młoda kobieta, krótko po ukończeniu studiów ekonomicznych na Uniwersytecie Gdańskim i na Czarnym Lądzie rozpoczęła Pani życie u boku męża, Nigeryjczyka. Przeżyła Pani tzw. kulturowy szok?

Alicja Bartkowska: Kulturowy szok, o tak! W momencie wylądowania na lotnisku w Lagos było już ciemno. Jechałam taksówką do kolegi męża ze studiów, Wurunkema, pod zapisany jeszcze w Polsce przed wyjazdem adres. Przyłgnęłam twarzą do szyby, by jak najwięcej zobaczyć. Zaskoczyło mnie wszechobecne gwarne, przekrzykujące się głosami sprzedających życie ludzi, na ulicy, na obrzeżach jezdni. Wszyscy i wszystko przy świeczkach, by oświetlić ich skromny towar do sprzedaży. U nas o tej porze wszyscy są raczej w domu. W ten wieczorny chłód przyjemniej się im sprzedawało. Wydawało mi się, że oni są bardzo uczynni i bardzo grzeczni. Każdy chciał ponieść mój bagaż, każdy oferował pomoc w znalezieniu transportu. Mało wtedy wiedziałam, że to ich sposób na zarobek, bo po poniesieniu bagażu nawet o kilka kroków nie odchodzili, tylko czekali na zapłatę. Zdarzało się też, że i ukradli bagaże. Ich niekończące się prośby o pomoc finansową tłumaczono chorobą dzieci, pomocą przy otwieraniu biznesu. Tych pożyczonych pieniędzy nigdy nie oddawali. Potrafili przyjść w odwiedziny i zostać na kilka miesięcy. Nocne modlitwy na ulicy usprawiedliwiali odpędzaniem złych duchów. Nie było obowiązku rejestrowania nowo narodzonych dzieci. Nie wszystkie ulice miały swoje nazwy i numerację domów. Poczta funkcjonowała wyłącznie przez dostarczanie listów i przesyłek na skrzynki pocztowe w samym urzędzie

pocztowym lub bezpośrednio do większych urzędów, uczelni, banków. Nie ma listonoszy ani kurierów. Zimna woda i zimne piwo oraz napoje jak coca-cola, pepsi to najlepsze, co można było zaoferować przybyszowi. Kawa czy herbata prawie nie figurowała w domowych zakupach. Transport publiczny, autobusy nie miały numerów ani nazw docelowej stacji. Tam konduktor wykrzykiwał, w którym kierunku jedzie. Brak koszy na śmieci na ulicach, brak wywozu odpadów z domostw to kłopot dla samych mieszkańców. Samowola budowlana i często brak fachowego nadzoru skutkowały chaosem w infrastrukturze miast.

A jak zareagowała na to wszystko Pani rodzina? Ponure lata PRL-u, tradycyjne i niekoniecznie jeszcze wówczas tolerancyjne społeczeństwo... A Pani wychodzi za mąż za Nigeryjczyka i wyjeżdża do Afryki. Rodzina, znajomi wspierali Panią w tych decyzjach?

Absolutna dezaprobata na małżeństwo z Afrykańczykiem. Rodzinie przynosiłam wstyd, że tak nisko upadłam. Dla większości byłam tą spod latarni, tą, która poszła za dolary. Czarnoskóry był kojarzony z marynarzem, jakimś przejezdnym, prawie nigdy z kształcącym się na uczelni, więc jego społeczny status kojarzono właśnie z portem, barem. Było powszechne przeświadczenie, że on też pochodził z lądu, gdzie jest głód, ubóstwo, nędza, gdzie kobiety są sprzedawane za wielbłąda, gdzie jest wielożeństwo.

Na pewno może Pani opowiadać o Afryce godzinami. A gdyby Pani miała wskazać krótko, na potrzeby tego wywiadu, dwie największe różnice i dwa największe podobieństwa pomiędzy Polakami i Nigeryjczykami, to co by to było?

Podobnie my, jak i oni chcemy mieć swój własny, niezależny kąt do życia, swoją rodzinę, samochód, wykształcone dzieci. Chcemy mieć środki do życia, swoją

pracę, mieć opiekę lekarską. Co nas różni, to ich kompletny brak poczucia czasu i prawie jawna korupcja.

"Dziewczyna z małej wsi, która najpierw wiąże się z Nigeryjczykiem, następnie sama świetnie sobie radzi w dalekim, trochę dzikim kraju". To fragment recenzji Pani książki autorstwa Natalii Bednarz, z okładki publikacji. Prosimy zdradzić, czym się Pani zajmowała w Afryce, ma Pani poczucie, że odniosła tam sukces?

Początki były bardzo trudne. Przez dwa lata byłam tylko z trójką dzieci, bez męża. Poznawałam realia życia codziennego. Zaczęłam od szycia ubrań dla kobiet i dzieci. Moją pierwszą pracę wspominam z nostalgią, bo traktowano mnie jak ich wspaniałą siostrę. Dowartościowywałam ich przez kolor mojej skóry, a więc i byłam ich międzynarodowym marketingowym statusem. Często podpowiadano mi, jak się zachować przy podejmowaniu decyzji w transakcjach biznesowych, uczono finansowych strategii i systemu operacji bankowych, których ja po studiach w Polsce, w czasach PRL-u, nie znałam w praktyce. Nigeria była do 1960 roku angielską kolonią i tam system bankowy opiera się na angielskiej spuściźnie. Największe jednak doświadczenie w marketingu przesłam w firmie z Izraela, Dizengoff. Tu nauczyłam się profesjonalizmu na szczeblu negocjacji transakcji z urzędami władz państwowych, siecią banków i samym centralnym bankiem. To doświadczenie i ogłoda marketingowa przydały mi się doskonale w późniejszym życiu, już w Europie, gdzie przez osiemnaście lat prowadziłam wraz z partnerem sieć sklepów z antykami, galerię z polską ceramiką z Bolesławca na bazach militarnych NATO.

Pani książka zawiera relacje zdarzeń niebezpiecznych, groźnych, w tym napadów. Nasuwa się oczywisty wniosek, że życie w Nigerii, w porównaniu do tego w Polsce, nie należy do bezpiecznych?

Nigeria to bardzo niebezpieczny kraj. Napady z bronią, maczetą, czy fizyczne używanie siły nie tylko nocą, ale i w biały dzień zdarzały się codziennie. Są one podyktowane chęcią życia na poziomie zapewniającym dostatni byt, jeśli nie zapewnieniem wyżywienia. Ci rabusie są zdesperowani w tych napadach do maksimum, nawet oddania własnego życia. Wiedzą, że złapani będą osądzeni na miejscu, często spaleni żywcem przez założoną płonącą oponę na szyi. Najczęściej działają pod wpływem narkotyków. Nie tylko na tle rabunkowym są te napady, często też na tle rozgrywek politycznych.

Problem ten jest wynikiem braku rządowej polityki zatrudnienia, polityki dla rodziny, polityki socjalnej dla społeczeństwa. Nie istnieje jakakolwiek pomoc dla ubogich, nie mówiąc o emerytach. Nie ma zagwarantowanej przez rząd opieki zdrowotnej. Wszystko trzeba samemu sobie zorganizować. Dlatego większość rodzin jest wielodzietna, bo w dzieciach jest cała nadzieja na wsparcie. Jest nadzieja, ale to mylące rozumowanie, bo te dzieci nie dostają wystarczającego wsparcia od rodziców, by zacząć własną godziwą egzystencję, by w przyszłości zająć się rodzicami. W konsekwencji jest duża śmiertelność wśród dzieci.

A przeprowadzka z powrotem do Polski? Też pewnie nie była taka łatwa, po tylu latach pobytu za granicą? I dlaczego w ogóle zdecydowała się Pani na powrót, czy to tęsknota za ojczyzną była tutaj czynnikiem decydującym?

Planowałam powrót do Polski od dłuższego czasu. Najpierw wysłałam najstarszego syna do szkoły średniej z wykładowym językiem angielskim, po dwóch latach średniego i najmłodszego wiekiem. Dla dzieci to też wielki szok w nauce. Poziom nauczania, tematy do opanowania, trudności w płynnej komunikacji w języku polskim, przez to

wszystko synowie musieli przejść. Kiedy dzieci są w szkołach podstawowych, to nie ma problemu z ich nauką, jeśli wysyła się je do prywatnych szkół. Nauka na wyższym poziomie w Nigerii, na uniwersytecie nie była w ogóle w planach. System jest bardzo upolityczniony, nabór nowych studentów bardzo skorumpowany, a sam poziom nauczania jest słaby. Po zrezygnowaniu z pracy w Dizengoff przez rok pracowałam w swojej własnej firmie. Próba uprowadzenia mnie i mojego samochodu była przełomowym punktem, kiedy ostatecznie zamknęłam tam swoją aktywność biznesową i wróciłam do Polski. Cieszyłam się na ten powrót w swoje rodzinne strony. Znaleźć sobie nową pracę tu, w Polsce okazało się bardzo trudne. Na kwalifikacyjnych rozmowach słyszałam, że Afryka to nie to samo, co Polska i ja nie znam tutejszych realiów. Nasza Polska mentalność, na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy to wróciłam, miała jeszcze tę ograniczoną skłonność do uzurpowania własnej wyższości nad tą zagraniczną, nie była otwarta na akceptowanie inności. Myślę też, że postrzegano Afrykę generalnie jako zacofany kontynent gospodarczy i nie można nauczyć się postępowych strategii marketingowych. Ja tak byłam odbierana. Po kilku miesiącach pobytu w Polsce po powrocie z Nigerii wyjechałam do Niemiec. Tu przeżyłam 18 lat... Początki były trudne, nawet bardzo trudne. Wtedy nie było jeszcze Unii Europejskiej, nie znałam języka. Uczyłam się wszystkiego od podstaw. Z partnerem operowaliśmy kilka sklepów na bazach NATO. Przez ostatnich 6 lat pobytu tam, do momentu, gdy przesłam na emeryturę, pracowałam na lotnisku we Frankfurcie. Ten okres to również ciekawy czas, następny temat na napisanie nowej książki.

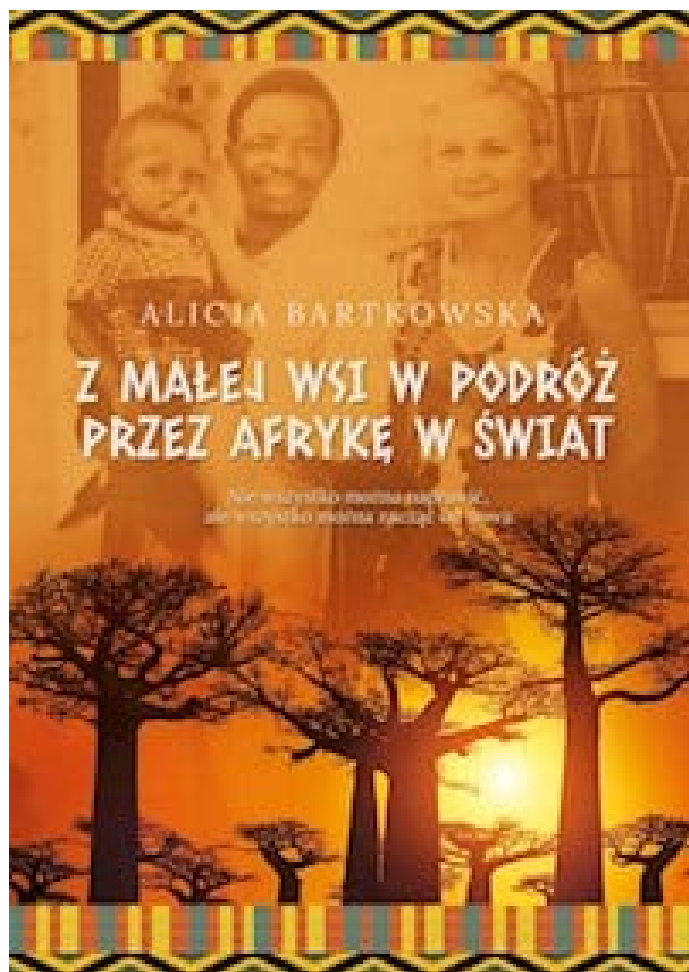
Jak dzisiaj wygląda Pani życie? I czy tęskni Pani za Afryką, utrzymuje z nią kontakt?

W wieku 65 lat, będąc na emeryturze, wybudowałam w Polsce, w rodzinnych stronach, z drugim mężem pierwszy własny dom i napisałam tę autobiograficzną książkę. Cieszę się ogrodem, kwiatami, domkiem. W swoim życiu przeprowadzałam się około czterdzieści razy i to nie tylko z miasta do miasta, ale międzykontynentalnie i to kilka razy. Te przeprowadzki zawsze były „za chlebem”, szły w parze z podpisywanymi kontraktami, życiowymi sytuacjami i nigdy turystycznie. Nie lubię tego „śniegowego bielactwa” tutaj w Europie. Zima jest piękna, kiedy jest oglądana przez okno, jak śnieg spokojnie i nostalgicznie prószy. Przygnębiająca jest ta zimowa ponurość, szarość. Breje na ulicach, długie wieczory, a króciutkie dni, skłonność do przeziębień też wpływa na brak energii i generalnie skłonność do apatii. Ja kocham słońce, ciepło, zieleni, kwiaty, wodę. Kocham palmy i drzewka oliwkowe. Przed domem u mnie latem muszą być palmy, i są. Tęsknię za afrykańskimi pejzażami, roślinnością, plażami i niektórymi potrawami. Rodzina męża z Nigerii mnie zaprasza do siebie, ale koszty takiej podróży i niebezpieczeństwo na drogach, bycie wyeksponowanym dla rabusiów i złodziei zniechęca mnie do takich wojaży. Znaczna część męża kuzynów mieszka w USA i tam się spotykamy, gdy odwiedzam moich synów z ich rodzinami.

Prosimy jeszcze o informacje dla Czytelników, gdzie można kupić Pani książkę. Wiemy też, że jest Pani otwarta na zaproszenia na spotkania autorskie?

Moją autobiograficzną książkę „Z małej wsi w podróż przez Afrykę w świat” z 18 lat życia w Afryce można nabyć bezpośrednio u mnie z dedykacją i autografem. Kontakt: albart1951@gmail.com, 518 677 989, cena 39,99 zł, koszt wysyłki 5,50 zł. Jestem też otwarta na zaproszenia na spotkania autorskie.

„Z małej wsi w podróż przez Afrykę w świat” - książka Alicji Bartkowskiej.



~~galeriaspc~~8178~~

Źródło:

<https://www.infoilawa.pl/aktualnosci/item/70601-wyruszyła-z-malej-wsi-w-podroz-przez-afryke-a-licja-bartkowska-z-mroczna-opowiada-o-swoim-zyciu-na-czarnym-ladzie-wywiad>